



Autorka korespondencji z Irlandii

Mówią, że najtrudniej poecie jest wymyśleć tytuł. Skreśla, zakreśla, gumkuje, a zapisany tekst jak był, tak i bez nazwy pozostaje. A przecież to rzecz ludzka nazywać! Ja podpiszę się pod tym stwierdzeniem obiema rękami, ale dodam coś jeszcze - najtrudniej jest zacząć! Biorąc pod uwagę, że tytuł zazwyczaj jest początkiem, wychodzi na jedno. Tak, nie wiem jak zacząć! Spróbuję więc od nazwania. Nazywam się Paulina Ostrowska, mieszkam w Dublinie i w kwietniu skończę 30 lat. Grzeczna musiałam być przez cały poprzedni rok (a może to ta magiczna trójka!), bo już na trzy miesiące wstecz dostałam nieoczekiwany prezent - zaproszenie do pisania w pewnym polskim kwartalniku. A że podejmowanie wyzwań to moja druga natura, w ten oto sposób rozpoczynam kolejną przygodę - irlandzkiego korespondenta *Sierpeckich Rozmaitości*. Nie lada gratka!

Nie będę ukrywać, że dyplom w kieszeni mam z zupełnie innej dziedziny, ani tym bardziej kłamać, że jestem doświadczonym dziennikarzem. I choć przewrotny los związał chwilowo moje życie zawodowe z jednym z irlandzkich banków, jestem humanistą, z kiloma pasjami i chęcią dzielenia się nimi ze światem. Przede wszystkim jednak, od pięciu już lat, jestem emigrantem - Polką w Irlandii. I o urokach tego życia, czasem też może jego gorzkim smaku oraz blaskach i cieniach Zielonej Wyspy będę dla Was od dziś pisać. Nie słyszę sprzeciwu, widzieć też nie widzę, pozwolicie więc, iż zacznę.

W 2001 roku, kiedy po raz pierwszy w życiu spotkałam Irlandczyka (notabene w Ameryce!), postanowiłam w końcu zlokalizować Irlandię na mapie świata. Pojęcie o Wyspie i jej mieszkańcach miałam w owym czasie mgliste, a właściwie w ogóle go nie było. Że na zachodnim krańcu Europy, z widokiem na ocean, podobno wiecznie zielona, bo że nie wszyscy tubylcy są rudzi na jedną modłę, dowodził ów nowo poznany, czarno włosy i zielonooki przedstawiciel płci męskiej. Jako że dwie pierwsze z wymienionych cechy udało mi się potwierdzić od razu, otworzywszy atlas, z weryfikacją kolejnych musiałam jeszcze poczekać. Nawet nie tyle ta całoroczna zieleń zaprzętała mi głowę (byłabym w stanie uwierzyć na słowo!), co rudy kolor właśnie. Do tych pamiętnych amerykańskich wakacji, Irlandczyk i rudy były dla mnie (jak dla większości Polaków do 2004 roku) synonimami, a po wakacjach mój porządek myślowy został zburzony. Oh, jak ja nie lubię bałaganu myślowego! Dlatego kilka lat później, gdy już wiedziałam, że granica na pewno zostanie otwarta, że za nią niepoprawnie wręcz nienasycony rynek pracy, i nie jedno niemożliwe ma szansę się zdarzyć, porzuciłam swój

Bez tytułu. czyli Irlandia od początku

uwierający status bezrobotnego absolwenta w ojczyźnie i dokładnie w południe 25 urodzin (tydzień przed wstąpieniem Polski do Unii Europejskiej) wylądowałam na dublińskim lotnisku. W tym miejscu muszę Wam wyjaśnić skąd tyle prywaty na tej szpalcie. Stąd, iż uważam, że temat Wysp (łącznie z UK) i całej emigracji pounijnej stał się najzwyczajniej nudny, a wszystkie możliwe środki przekazu wciąż, uparcie prześcigają się w dostarczaniu rozmaitych porad oraz próbują kreować „jedyny słuszny” wizerunek tej części Europy. Ja postawiłam Wam pokazać Irlandię subiektywną, obraz odbierany moimi zmysłami. Nie ukrywam, moje zmysły uwielbiają samowolkę i chadzają własnymi ścieżkami. Informacje praktyczne natomiast doczytacie w Wikipedii.

Dlaczego Irlandia?

Najprościej by odpowiedzieć, iż dlatego, że tu jest praca. W chwili obecnej jednak dość ruchomy to grunt, ale o ekonomii mi nie wolno. Poza tym to już też przedawniony temat. Niewiele przesadziłby człowiek twierdząc, że żyje się tu łatwo, przyjemnie i bezpiecznie. Jak potwierdzają chyba nawet statystyki, Irlandczycy to jeden z najbardziej optymistycznych i zadowolonych z życia narodów w Europie, muzykalny jak żaden inny na pewno oraz neutralny militarnie, co sobie (szczególnie obecnie) bardzo wysoko ceni. Ja mam jednak swój powód, aczkolwiek powyższe zawierający. Irlandia to, parafrazując piosenkę Kultu, miejsce na Ziemi, które nigdy się nie budzi, nigdy także nie zasypia. I choć nie jeden logik obaliby to stwierdzenie za pomocą krótkiego wzoru, w moich oczach pozostaje prawdziwym. W Irlandii, mamy na przykład cztery pory roku - rozśpiewaną wiosnę, deszczowe lato, upalną jesień i senną zimę. Niby brzmi znajomo, trochę jednak niedorzecznie, prawda? Tak, my potrafimy mieć tyle niedorzeczności w ciągu jednego dnia, *sensu stricto* i zupełnie w przenośni. No bo jak wytłumaczyć to, że nawet w nowo budowanych domach wciąż montują dwa oddzielne kurki do zimnej i ciepłej wody, a każdy jeden napotkany w windzie człowiek rozpoczyna rozmowę wieszając psy na pogodzie, w zależności od tego jaka akurat jest za oknem - a to za zimno, za ciepło, za sucho, za mokro, za jasno, za ciemno i tak dalej. Wciąż jednak najbardziej zaskakującym jest dla mnie fakt, że robią to sami Irlandczycy, ci, którzy na pogodę co prawda nie mają wpływu (z drugiej strony, mogliby się w końcu przyzwyczaić!), ale na te kurki w kranie na pewno.

Zielona Wyspa jest idealnym miejscem do życia dla tych którzy nie mogą się zdecydować na wielkomiejski gwar, czy zacisze wsi. Każdy kraj na świecie ma obie możliwości, ale tylko u nas są one w zasięgu ręki, no dobra, kilkunastominutowego marszu. Wielokrotnie słyszałam ironiczne opinie naburmuszonych emigrantów, że Irlandia jest małomiasteczkowa, a sam Dublin jak wieś, w pejoratywnym tego słowa znaczeniu. A dla mnie właśnie jest idealna. Nie ma tu metra (choć jest plan, podobno nawet data jego wykonania) i w konsekwencji potencjalnych zagrożeń XXI wieku.